

Bagiennik biebrzański

tekst: Tomasz Lippoman
www.bialowieza.com.pl

Biebrza to rzeka, prawy dopływ Narwi. Biebrza to jednak dużo więcej. To coś, co chyba jednak łatwiej przeżyć, niż opisać.

Jak bowiem zamknąć w słowach pustkę torfowisk, nocne toki dubeltów, gulgotanie cietrzewi w szronie marcowego świtu? Jak namalować słowami wędrujące pod najszerszym podlaskim niebem łosie, czy ciszę niezmaconą żadnym obcym dźwiękiem? Jakie słowa oddadzą lekkość ruchu smukłej puchówki, zręcznie prowadzonej przez człowieka, który jest tu od zawsze jak kamień, jak zakole rzeki, jak brązowy bekas?

Trudne to zadanie. Najtrudniej jednak chyba opisać Biebrzę zimą. Przeróżna bywa w swej zastygłej monotonii. Raz wygląda bowiem jak świeżo wykrochmalone prześcieradło rodu olbrzymów, by po chwili odmienić się w paletę malarza, co świat w odcieniach brązów, żółci i bieli postrzega.

Gdy wiatry nadciągną z północy, Biebrza jest jak Bałtyk w sztormowy wieczór. Nie ma wtedy traw, nie ma drzew, bo wszystko znika, aby chmury stały się Biebrzą, a Biebrza chmurami.

Wiosną Biebrza to bogactwo ptasiego harmidru, nieposkromiony festiwal żółtej barwy kaczeńców i jaskrów, latem coś jakby afrykańska sawanna, jesienią nostalgia za czymś, jakże trudnym do określenia, a zimą... właśnie zimą kraj to najmniej przystępny, najbardziej człowiekowi nieprzyjazny i najbardziej dziki.

Zimą biebrzańskie pustkowia najchętniej odsłaniają swą duszę, co jednak nie znaczy, że można ją łatwo dostrzec. Jest w niej posmak skórki dobrze wypieczonego chleba, jest zapach bez woni i pieśń bez dźwięku, jest poezja bez słów. Zimą biebrzańskie błota zapełniają duchy, co nie dzwonią łańcuchami, nie zwodzą

w topiel, duchy, co są w tej krainie, bo nie mogą nigdzie indziej być...

Jest także w mroźne noce pieśń wilka, którą tylko głupiec opisać próbował będzie. Jest tu szelest ponowy^{*)} śnieżnej, co w podmuchach wiatru jak pałeczka Jankiel gra pieśń zimową na lodowej warstewce śniegowych cymbałów. Jest tam zimą niekiedy ptak drapieżny, co szuka na pustkowiu innego stworzenia.

A człowiek? Czy człowiek też jest tam zimą? Nie ma człowieka. Czasem jakiś zbłąkany wędrowiec, czasem miejscowy, co musiał od chaty swej odejść. Człowieka tam nie ma. Co mógłby robić w miejscu tak dzikim? Patrzeć? Na co? Słuchać? Czego?

Nawet łoś, najbardziej biebrzański mieszkaniec tego kraju, zimą chowa się w lasach olszowych, co okalają rzeczne moczary. Może więc wilk dziki? Jego tam też nie ma, lecz w niektóre noce jest tam pieśń wilka, pieśń, co w klatce słów naszych nigdy nie zamieszka.

Wedle miejscowej legendy, najwierniejszym mieszkańcem tej przedziwnej krainy jest demon – Bagiennik. Nie wielu śmiertelników widziało go jednak na własne oczy.

Wędrując po biebrzańskich torfowiskach, spotkacie niekiedy bąble gazu, wydobywające się z dna zastoisk. Naukowcy powiedzą wam, że to gazy gnilne, składające się głównie z metanu. Starzy biebrzańcy doszukają się w tym jednak obecności demona. Kto ma rację? Trudno dociec.

Czasem jednak, zwykle w bezksiężycowe, pochmurne noce, na nigdy niezamarzających oparzeliskach, usłyszeć można odgłos czegoś ciężkiego, wpadającego do wody. Może być to spłoszony bóbr, plaskający ogonem. Czy zawsze jednak jest to bóbr?

Nieliczni, którzy na własne oczy widzieli Bagiennika, mówią, że nigdy nie opuszcza on swej topieli. Niekiedy

wystawia z błota brunatną, wielką głowę, by zaczerpnąć powietrza nozdrzami umieszczonymi na czole. Podobno czyni to jednak nie tyle z konieczności, co ze zwykłego kaprysu. Oddycha bowiem przez cienką zielonkawo-brunatną skórę, czerpiąc tlen wprost z wody.

Bagienniki, w przeciwieństwie do Utopców i Wodników, zwykle nie czynią ludziom krzywdy. O prawdziwości tego twierdzenia świadczyć może poniższa historia.

Zanim ją wam jednak opowiem, wspomnieć muszę o kilku ważnych dla niej sprawach.

Demon ów potrafi strzelać z nozdrzy błotnistą, gorącą substancją, która, co ciekawe, ma właściwości uzdrawiające. Okłady z tejże mazi leczą ciężkie, niegojące się rany, choroby serca, reumatyzm, bóle krzyża i wiele innych przypadłości. Z drugiej jednak strony, oddech Bagiennika jest podobno zabójczy.

Ostatnia ważna dla naszej historii informacja dotyczy hierarchii słowiańskich bóstw. Bagiennik mianowicie jest demonem niższego szczebla, oddającym hołd Pani Jezior i Płytkowodzi, zwanej też Królową Podwodnych Łąk i Panią Ryb.

Rzecz działa się nie tak dawno temu, bo na przełomie XVIII i XIX w.

We wsi Brzostowo, chętnie dzisiaj odwiedzanej przez amatorów podglądania wodnego i błotnego ptactwa, mieszkał wraz z ojcem Jan Mocarski. Obaj byli rybakami, jak większość sąsiadów. Pewnego wrześniowego wieczora ojciec naszego bohatera wybrał się na rzekę, by zapłować na dużego suma. Zabrał ze sobą zapas grubej linki, solidne haki i kilka martwych płotek – na przynętę.

Noc była ciepła, ale pochmurna i zanosilo się na deszcz. Stary Mocarski zarzucił przynętę na głęboczek, zapalił skrętą i czekał.

Tuż przed północą miał branie. Nawinięty na olszynowy kołek sznur, błyskawicznie pogrązał się w czarnej wodzie. Doświadczony rybak nie próbował podrywania, wiedział bowiem, że duża ryba potrzebuje sporo czasu, by połknąć przynętę.

Gdy jednak linka niemal w całości odkręciła się z kołka, zaciął. Teraz jednak sum przejął inicjatywę. Ciągnął twardo pod prąd. Stary nie chciał stracić ryby i popuszczał po trosze po kawałku linki. Wkrótce nie miał już jednak czego popuszczać. Koniec sznura owinął wiec wokół dłoni. Sum twardo ciągnął, sznur wrzynał się w ciało do krwi. Walka trwała niemal do wschodu słońca. Wielka ryba holowała łódź kilka kilometrów w górę rzeki. Gdzieś w okolicach wsi Biodry, staremu udało się ją zmęczyć. Wyholował olbrzyma na mieliznę, ogłuszył osinową pałką i wciągnął do wąskiej duszyhubki.

Tuż po wschodzie słońca był w domu z niemal siedemdziesięciokilogramowym, dwumetrowym sumem. Próżno dzisiaj szukać takich ryb w naszych wodach. Wytrute, wybite prądem, osaczone sieciami, należą już do legendy.

Mocarski wrócił do chaty dumny jak paw. Dochód z takiej zdobyczy pozwalał na godne życie przez kilka tygodni. Uznanie sąsiadów też nie było bez znaczenia.

Mijały coraz krótsze jesienne dni. Rana na dłoni rybaka nie chciała się jednak goić.

Okalające biebrzańską dolinę lasy wypełniały się bogactwem barw. Brzegi zielonych borów pojaśniały żółcią brzoź. W grądach złociły się klony i osiki, rozjaśniając brązowe plamy dębów i grabów. W dolinach strumieni, z ciemną zielenią olch żywo kontrastowały złote pióropusze jesionów. W nieco suchszych miejscach torfowisk, na rdzawej palecie traw i turzyc, żółto dźwięczały przysadziście kępy krzaczastych wierzb.

Stary nie mógł jednak, jak co roku, cieszyć się urokami jesieni. Zraniona dłoń paliła go i rwała, z dnia na dzień coraz bardziej. Nie pomagały okłady z torfu i sprawdzonych ziół. Palce zaczęły czernieć, do rany wdała się gangrena. Ból był tak nieznośny, że stary błagał syna, by odciął mu dłoń. Ten jednak udał się do miejscowej poszeptuchy. Zielarka poradziła Janowi, by na początek złożył ofiarę z najprzedniejszych ryb Pani Jezior i Płytkowodzi a następnie ciemną pochmurną nocą udał się nad brzeg Biebrzy i przywabił Bagiennika świeżym, tłustym węgorzem oraz dymem z dębowych liści, wyprażonych w piecu chlebowym. Zanim jednak wywoła z moczarów demona, powinien starannie owinać głowę lnianym płótnem. Jak wiemy bowiem, oddech Bagiennika jest zabójczy, a maź, którą strzela on z nozdrzy, gorąca jak ogień.

Młody Mocarski zastosował się do zaleceń zielarki. Pierwszej nocy nic jednak się nie wydarzyło. Słyszał tylko puszczyki nawołujące się z pobliskiej dąbrowy. Drugiej nocy coś ciężkiego wpadło do wody, chociaż nie było ani krztyny wiatru. Trzeciej nocy z Biebrzy wyłonił się Bagiennik, by odebrać swoją ofiarę. Najpierw ukazała się wielka, żabia głowa. Szeroka, bezzębna paszcza pochwyciła węgorza i po chwili wszystko zniknęło. Jan jednak czekał.

O brzasku demon pojawił się raz jeszcze na bardzo krótką chwilę, by strzelić gorącą mazią wprost na owiniętą lnianym płótnem głowę rybaka.

Ile w tej historii prawdy, trudno dociec. Podobno jednak stary Mocarski nie stracił zaatakowanej przez gangrenę dłoni i dożył lat ponad dziewięćdziesięciu, co jak na owe czasy było nie lada wyczynem. Na coś się więc jednak maź Bagiennika przydała. Wszak do dziś dnia ludzie zażywają dla zdrowia kąpeli borowinowych, które jak wiadomo z bagna pochodzą.

Czy Bagiennik nadal nad Biebrzą przebywa? Trudno powiedzieć. Jak bowiem wszystkim dobrze wiadomo, niewielu śmiertelników może go ujrzyć na własne oczy.

*) świeży śnieg, jeszcze nie zaznaczony tropami zwierząt.